Nr. 34. We Lwowie dnia 23. sierpnia 1896. Rok 4.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Panowie Wielopolscy w Krakowie.

Niektóre epizody z przeszłości tej rodziny.

(Przekupstwo. — Sprzeniewierzenie się. — Margrabstwo. — Morderstwo. — Margrabia Aleksander Wielopolski).

„Jeśli takich postaci . . . należycie ocenić nieumieją, temu winien może pewien atawizm, może też naturalne wzdraganie się zajrzenia w oczy tragicznej, ale niemniej wstrętnej prawdzie historycznej“.
(Z listu mrgrb. Zygmunta Wielopolskiego do petersburskiego pisma Kraju. N. 26).

INTRODUJKCA.

Atawizm.



łusznie mgr. Zygm. Wielopolski, przyjaciel jak sam naiwnie się przyznaje policmeistra-moskala Siergieja Muchanowa, mówi, że uczucie naturalne wzdraga się zajrzeć w oczy tragicznej i wstrętnej prawdzie historycznej. Z tem wszystkiem bądź co bądź, czy wcześniej czy poźniej prawda historyczna musi wyjść na jaw wskutek chociażby tegoż atawizmu — w czynach przez tenże atawizm wywołanych w następnych generacjach. I rzeczywiście tylko spotęgowany atawizm przez ciągły przyrost żywiołów ujemnych, może objaśnić te czyny i sprawy, które tak są wstrętne i przeciwne naturze ludzkiej, że ich monstrualność zdaje się nawet niemożebną i zaprawdę trudną do uwierzenia.

Jakże pojąć, jak wytłumaczyć, żeby Polak wyrzekał się z przekonania swojej ojczyzny, przyjaźnił się z ciemięzcami swego narodu i okropną niewolę, wynarodowienie, ucisk niesłychany, prześladowanie religji uważał za rzecz słuszną i uprawnioną a najzacniejszych ludzi *) brutalnie znieważał, i żeby jak Zygmunt Krasiński mówi, z własnej ochoty przerobaczał się w błaznowatego**) posługacza ciemiężycieli swego narodu i w końcu popisywał i chlubił się jeszcze ze swej solidarności z mordercami Ojczyzny i policją moskiewską. Monstrualność zaiste posunięta do nec plus ultra.

Pochodzenie Wielopolskich od mieszczan krakowskich Bochnarów (Bochnerów).

Kiedy hrabia (późniei margrabia) Aleksander Wielopolski, wbrew i naprzekór układom familijnym zawartym przez ojca jego Józefa Stanisława i stryja Andrzeja z ich bratem stryjecznym margrabią Janem Nepomucenem Wielopolskim-Myszkowskim, wystąpił z procesem przeciw temu ostatniemu i chcąc ubódz jego adwokata Jana Olrycha Szanieckiego, słynnego posła na Sejm, wyrzucał mu, że do nazwiska swego Olrych wyjednał od rządu (1813) przydomek Szaniecki (z powodu nabycia dóbr Szańca) — Olrych-Szaniecki odpowiedział hr. Aleksandrowi Wielopolskiemu, że i Wielopolscy toż samo uczynili, zowiąc się Bochnarami przezwali się Wielopolskimi. Rzeczywiście Bochnary była to zamożna niemieckiego pochodzenia mieszczańska krakowska rodzina, i gdy jeden z nich Jan Bochnar ożenił się z dziedziczką Wielopola i zamieszkał w Wielopolu, to dla odróżnienia się od krakowskich Bochnarów przezwał się Bochnarem-Wielopolskim. Z czasem prawdziwe ich nazwisko Bochnarów, jako przypominające mieszczaństwo i niemieckie pochodzenie snadź nieprzyjemne zostało opuszczone, a pozostało tylko piękniej brzmiące Wie-

*) Nie wymienia ich — lecz wyraźnie wskazuje, wytykając, że są »z nad Sekwany (książe Władysław Czartoryski, z Nowego Świata (Andrzej Zamojski).... kogo ma na myśli »z pod Wawelu« — trudno zgadnąć, i t. d. z Cuneo i t. d.

**) Wyraz błaznowaty nieparlamentarny, niewłaściwie użyty przez mrgr. Wielopolskiego, tutaj właściwie na swojem miejscu postawiony.

lopolskich (ob. Niesieckiego, Okolskiego, Chmielowskiego). [1])

Prawdziwe więc i rodowe nazwisko Wielopolskich jest Bochnary (raczej Bochnery). Z czasem Wielopolscy dodali sobie jeszcze nazwę Myszkowskich, Gonzagów, a własne Bochnarów tak poszło w zapomnienie, że o nim może i sami Wielopolscy niewiedzą. Wiedzą, czy nie wiedzą, ale niezawodnie powszechnie mało kto wie, że Wielopolskich prawdziwe nazwisko, było Bochnary czy Bochnery.

Z czasem jeden z tych Bochnarów-Wielopolskich, Kacper został Podkomorzym krakowskim, a że z Podkomorstwem krakowskiem połączone były starostwa solne Wieliczki i Bochni i razem z tem korzyści z soli nie małe, wskutek tego ze wzrostem majątku nastąpił i wzrost w znaczeniu. Do tych też, co z soli wyrośli Stefan Czarniecki mówił: ja ani z soli, ani z roli, ale z tego co boli wyrosłem. Jakoż syn tego Kacpra, wyrosłego i zbogaconego z soli, Jan został kasztelanem Wojnickim (1662 do 1667 przez pięć lat) a wślad zatem nawet i wojewodą krakowskim. Niedługo wszakże cieszył się województwem, bo po roku umarł. Ale syn jego także Jan wzniósł się jeszcze wyżej bo został kanclerzem wielkim koronnym, wyniesiony przez króla Jana III., któremu jednak za to odpłacił czarną niewdzięcznością.

Jan Wielopolski, kanclerz wielki koronny, spiskuje przeciw swemu królowi Sobieskiemu.

Względy króla Sobieskiego zjednał sobie ten Jan Wielopolski przez to, że się ożenił się z siostrą jego żony. Była to trzecia jego żona. Dotąd Wielopolski nie miał większego urzędu; Sobieski mianował go w r. 1677 Podkanclerzem i zaraz potem w roku następnym 1678 przed samym ślubem Kanclerzem.

Stanisław Wierzbowski, wojewodzic sieradzki, w pamiętniczku swoim (ob. Dod. do Czasu, R. 1858, T. 9 str. 489) podkpiwając sobie z Wielopolskiego, opisuje to wesele w tych słowach: „odprawiło się tam (we Lwowie roku 1678) wesele Kanclerza kor. Wielopolskiego, który pojął pannę d'Arquien, rodzoną siostrę żony króla. Co ten człowiek (Wielopolski) za dysgusta pojął — trudno wypisać....[2])

Kiedy Wielopolski później odpłacając się nikczemnie Sobieskiemu za dobrodziejstwa, stanął przeciw Sobieskiemu na czele spisku, Sobieski z goryczą wypisał własną ręką na karcie, która się dotąd przechowała, dobrodziejstwa, któremi »w ostatnich kilku leciech« obdarzył był Wielopolskiego. (ob. St. Tarnowskiego, Tajemnica, w Przeglądzie Polskim). Szujski (IV, 105) mówi: „Kanclerz Wielopolski, — sam stał na czele spisku... Nie brak podejrzenia, że spisek sięgał nawet myśli detronizacyi króla, którego miał zastąpić Karol Lotaryńczyk". Sam Wielopolski własną ręką napisał punkta spisku, jakkolwiek bardzo oględnie, ale dla spiskowców dosyć zrozumiale, mówi St. Tarnowski (Tajemnica). Pomimo jednak tej oględności i skrytości w punkcie 2 stało: *in commune bonum*, cokolwiek który kandydat dał — obrócić". To znaczy, że cokolwiek by otrzymali spiskowcy, to miało być obrócone na wspólną korzyść spiskowców, to jest, że tą niegodziwą łapówką judaszowską spiskowcy mieli się podzielić między sobą. Zapewne nie zdołali by zdetronizować Sobieskiego, bo przy Sobieskim oprócz podłych spiskowców stał naród cały. Opaliński biskup chełmiński na sejmie zawołał do Sobieskiego: albo panuj sprawiedliwie, albo przestań panować, i Sobieski dotknięty do żywego »chciał wystąpić z projektem abdykacyi«. (Szujski IV. str. 111), i gorzko się użalał, mówiąc: „*stupebit posteritas*, że po takich zwycięztwach i tryumfach, po tak szerokiej na świat rozgłoszonej sławie *aeterna* nas, żal się Boże, potkała *labes et irreparabile damnum. Quadraginta adhuc dies et Ninive subvertetur*, czego zal się Boże, już znaczne są początki." I do Załuskiego biskupa Płockiego mówił: „Na miły Bóg, czyż ty naprawdę myślisz, że w naszych czasach może zdarzyć się co dobrego? Czyż nie widzisz, że złe tak się rozmnożyło, że ledwo jeszcze jakieś miejsce dla miłosierdzia Bożego zostało? Czyż nie widzisz, że taka się między ludźmi zagnieździła niegodziwość, taka złość we wszystkich sercach osiadła, że poczciwość nie rzadka, ale prawie żadna jest"? Przyjaciele Sobieskiego żądali zwołania ogólnego szlachty i w obec całego narodu chcieli sądzić i ukarać spiskowców, zwłaszcza, że ich sprzysiężenie zostało odkryte przez pochwycenie sekretarza Lubomirskiego z tajnemi papierami i nadto jeden ze spiskowców, tknięty wyrzutami sumienia, wyjawił wszystko królowi (ob. Tajemnica) Jakoż jeden z towarzyszów broni, dzielny Stefan Bidziński kasztelan sandomierski, na sejmie otwarcie żądał ukarania zdrajców (bo ci spiskowcy przeciw Sobieskiemu wchodzący w porozumienie z obcemi państwami i biorący od nich zapłatę byli zdrajcami) i mówił: gdyby to taki był apetyt vindictae, jako nominacij, dawnoby mniej było zdrajców w Polsce, ale ich tylko wiedzieć chcemy, a nie karać, a ono malum eradicare należy — nie multiplicare, — w malignie krwi trzeba upuścić".

Niewiadomo wszakże coby się stało, gdyby stojący na czele spisku Wielopolski nie zachorował nagle i z wielkiem szczęściem dla siebie nie umarł,

[1]) Niesiecki wślad za Okolskim nazywa ich Bochnarami — ale w dawnych aktach pisali ich Bochnerami.

[2]) O ile Marysieńka była cudnie piękna, o tyle jej siostra była brzydka, garbata, ospowata i w dodatku stara, przeszło 50 letnia.

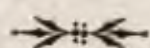
„m a r t w i ą c ą s w ą r ę k ą p a l ą c t a j n e p a p i e r y“ (Helcel, Szujski, St. Tarnowski). A kiedy w ślad zatem przyszli urzędnicy dla zabrania papierów kanclerskich, — żona Wielopolskiego narobiła harmideru i niedopuściła zabrania papierów lękając się, czy wszystko zostało spalone i czy nie pozostało co, coby udowodniło zdradę kanclerza. — Spiskować przeciw takiemu królowi jak Sobieski, będącemu chwałą Polski, otrzymawszy od niego tyle łask — no! — cóż na to powie mrgr. Zygmunt Wielopolski? Może ściśle powtórzyć słowa, które w liście do „Kraju“ zamieścił: »ż e u c z u c i e n a t u r a l n e w z d r y g a s i ę z a j r z e ć w o c z y w s t r ę t n e j p r a w d z i e h i s t o r y c z n e j“.

Ten Wielopolski z początku należał do stronnictwa francuskiego, lecz później snadź przez wdzięczność, że od Austrji został utytułowny „hrabią“ przedzierzgnął się do partji Austrjackiej, w myśl której dla poniżenia wsławionej przez Sobieskiego Polski — właśnie został uknuty haniebny, zdradziecki spisek nikczemny, na którego czele nie wzdrygał się stanąć h r a b i a W i e l o p o l s k i, kanclerz wielki koronny, i żeby nie bezgraniczna dobroć Sobieskiego — mógłby, owszem powinien był, zawisnąć na szubienicy. Uniknął szubienicy, ale z wypiętnowaną na c z o l e — h a ń b ą. C. d. n.



Ze sztuki.

(Obrazy obcych malarzy we Lwowie. — Portret Pochwalskiego)



Jedną z niezaprzeczonych, a niemałych zasług obecnego kierownictwa lwowskiej wystawy sztuk pięknych jest sprowadzanie od czasu do czasu dzieł obcych malarzy. Jestto jakby powiew z szerszych światów wciskający się do naszego zakątka. Prawda że i ze względu na odległość i ze względu na nasze ubóstwo zarówno majątkowe, jak pod względem estetycznego wyrobienia nie możemy marzyć o tem, aby nasza wystawa była nieustanną defiladą talentów rozmaitych narodów i stron świata. Ale i to dobre, jeżeli chociaż z rzadka i to niekoniecznie najwybitniejszych artystów obcych obrazy zjawią się u nas. Bo, jeśli nam wolno użyć raz jeszcze tego samego porównania, skoro nie można otworzyć drzwi na oścież szerszym powiewom, to niechaj one się wkradną chociażby przez wązkie okienka gdzieś u góry gmachu...

Sześć obrazów obcych malarzy zawieszono obecnie w lwowskim »Salonie«. Są to: Adama Ernsta »Na pogorzelisku«, Dieffenbacha »Za późno«, Schlichtinga »Nad Paryżem« i »Paryżanka«, Van Akena »Chory« i Jacobidesa »U prababki«.

Autorowie czterech pierwszych obrazów mają nazwiska niemieckie, ale tylko »Na pogorzelisku« i »Zapóźno« noszą istotne cechy obecnej niemieckiej sztuki. »Cechy« powiedziałem, a powinienbym powiedzieć »wady«. Bo jeśli czem niemiecka sztuka się wyróżnia, to tak kardynalnemi wadami, jak mdła i przestarzała technika i banalność w pomysłach. Zapewne i tam wreszcie zmieniać się poczyna, a tacy artyści, jak Stuck i inni, torują nowe drogi niemieckiej sztuce; ale tło pozostało jeszcze ciągle to samo. W ciągłej pogoni za pożądanem przez niemiecką publiczność *etwas gmütliches, etwas sentimentales,* wyszukując wiecznie ckliwo nowelkowych tematów, któreby potem mogły figurować w rozmaitych ilustrowanych *Familienblatach* z banalnymi, a napuszonymi podpisami, artyści niemieccy, zdawało się, zatracili poczucie malarskiego, plastycznego piękna, które od piękna literackiego różni się jak słowo od żywej barwy. Zapomnieli jednego, a nie nauczyli się niczego z tych zdobyczy, jakie przez ten czas poczyniło malarstwo na polu techniki. Zawsze te same wymuszone pozy, wiecznie naiwny rysunek, malowanie na gładko jak stół lakierowany lub politurowany. Co najwyżej udaje się im martwa natura, — ale to bardzo martwa!

Mamy tego przykład zaraz na pierwszym obrazie Adama Ernsta »Na pogorzelisku«. Garstka Bośniaków, Bułgarów, Turków, czy jak tam siedzi pod ścianą spalonego domostwa, a na przodzie, proszę uważać na tanią sentymentalną ironję, godną starej panny, przykucnęło dziecko, które bawiąc się, z drewnianych niedopałków domek sobie stawia. Wszystko to malowane słabo — bardzo słabo, tylko w głębi odbija kilka dobrze namalowanych kawałków majoliki, pozostałych w niedopalonej ścianie. Zwłaszcza na pewną odległość od obrazu ta majolika robi wrażenie, jakby na prawdę kawałkami została powstawiana w płótno...

Jeszcze rozpaczliwiej banalnym jest drugi obraz Dieffenbacha »Zapóźno«. Na skraju cmentarza, przez którego bramy widać jakieś niemieckie kumoszki, jest świeża mogiła. A przed mogiłą przykląkł jakiś »Bürger« niemiecki w podróżnem ubraniu, i chociaż jego obowiązkiem jest grać rolę »zrozpaczonego«, parasol położył porządniuteńko na ziemi, a kapelusz ostrożnie na parasolu, aby się gliną nie powalał, a sam klęczy z ufryzowaną brodą i miną jakby chciał powiedzieć: »Czegoż ten malarz tak długo mnie tu trzyma? Mnie się spieszy do kawiarni!«

Inaczej ze Schlichtingem. Jeśli to jest Niemiec, to pobyt w Paryżu, o którym świadczą temata jego obrazów bardzo nań oddziałał. Masa tu światła, barw, powietrza. Takiej np. postaci kobiecej w bieli, stojącej na odsłoniętej werandzie, (»Nad Paryżem«) możeby niejedno dało się zarzucić, ale widza ujmuje tu pogoń za naturą, jaką spostrzega w dobrze podchwyco-

nych barwach, zwłaszcza twarzy dziewczęcej, skąpanej w ukośnych promieniach słońca. To samo da się powiedzieć o mniej efektownym, ale może jeszcze lepszym portrecie »Paryżanki« tego samego artysty.

Z obcych obrazów pozostaje nam jeszcze Van Akena »Chory« rzecz nie małych rozmiarów, ale niczem niezwykłem nie uderzająca i Jacobidesa »U prababki«. Z przyjemnością zatrzymać się można długą chwilę przed tym wzorem sumienności malarskiej. Stara kobieta trzyma na kolanach pyzate maleństwo, któremu podaje owoce na talerzu. Ot i wszystko! ale jak to jest pysznie malowane, ile w tem życia!

Skończyliśmy przegląd obcych obrazów na lwowskiej wystawie, a dodać musimy, że nie nasuwa on wcale niepomyślnych dla naszych artystów wniosków. Nie mamy się czego wstydzić za granicą naszej sztuki, której utwory i w tem niewielkiem porównaniu wcale przy obcych nie gasną. Prawda, że nie przysłano arcydzieł obcych, ale też nie znajdują się one w otoczeniu arcydzieł naszych.

Bodaj czy kogo nie dziwi to ostatnie zdanie wobec tego, że teraz właśnie na wystawie znajduje się portret p. Czaykowskiego malowany przez Pochwalskiego. Czyż portrety Pochwalskiego nie są arcydziełami? — zapyta ktoś może. Jeżeli weźmiemy na uwagę ich plastykę, sumienność ich wykonania, to zapewne tak, lecz jako portrety w ogóle, są rzeczami dobremi, nawet znakomitemi, ale nie arcydziełami. Najlepszy portret jaki widziałem z najnowszych dzieł artystów polskich tj. portret własny Gerymskiego, stanowi pełnię tego, co od portretu wymagać można, bo i przedmiotową, techniczną doskonałość malarską, której i portretom Pochwalskiego odmówić nie można, lecz przy tem także i wyborną charakterystykę. Pochwalski zaś robi wrażenie jakby mówił do widza: »daję ci człowieka z jego ściśle twarzą aż do najdrobniejszych plamek barwnych, z jego oczami, włosami, słowem całego jakim jest, ale kim jest, oto się już nie troszczę; ty się sam tego domyślaj«.

Portret Pochwalskiego, nie wiem, przypadkiem, czy umyślnie, postawiono naprzeciw portretu p. B. przez Kotowskiego. I dzięki temu zaraz wybija się na wierzch zaleta Kotowskiego: — charakterystyka portretowanego. Bez wątpienia tak jak dziś, mimo wszystko, Kotowski w porównanie iść nie może z Pochwalskim, ale jeśliby zyskał kiedyś jego plastykę, jako portrecista stanąłby może jeszcze ponad nim.

Jan Zgoda.



Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

Tak więc — dogodziłam fantazji serca. Wspomnienia dzieciństwa przyciągnęły mię tutaj na złotej wstędze mocno i despotycznie. Pamięć dziecinnego serca przetworzyła ten obcy, dziwaczny, napół pociągający, napół odpychający zakątek — w coś tak nieporównanie, rzewnie drogiego dla mnie, jak dla innych kawałek ziemi ojczystej i rodzinnej. Kocham też i ja co prawda, kraj mój ojczysty i rodzinny świadomie i głęboko; lecz pewien pociąg mimowolny, jakieś kocie przywiązanie do miejsca, gdzie się wzrastało w zaraniu życia — popchnęło mię tu nieprzeparcie przed mym dziwacznym, o tak — dziwacznym, jak ludzie mówią, wyjazdem. Nie miałam z kim się żegnać — pożegnałam więc miejsce, zamieszkane niegdyś przez tych, z którymi dziś bym się żegnała, gdyby żyli. I gdybym skłonną była do jakichś mistycznych przypuszczeń, myślałabym też, że namiętny lot duszy mojej z dalekiej północy do tego trywialnego nad-Azowskiego południa na pożegnanie — był tylko nieświadomem posłuszeństwem tajemniczym miłośnym rozkazom, bym się stawiła na spotkanie z nimi, moimi — tam, gdzie powietrze wchłonęło w siebie ich ciała i... duchy — gdzie mignęło jedyne krótkie szczęście moje...

Czuję, że dochodzę do absurdu, puściwszy wodze swym myślom i czuciom, ale jest to w tej chwili tak zdumiewający surogat jakiejś dziwnej błogości, jakiegoś nieokreślonego szczęścia, że nie chce mi się z nim rozstać. Minie to natychmiast, niestety, pierzchnie, bo oto czuję już zapach węgla i podsmażonej na słońcu świeżej farby olejnej na statku.

A tu tymczasem kompletnie to samo, co przed dwudziestu laty, tu w tym zakątku... Tak, tylko w tym, niezbyt zresztą ciasnym zakątku. To samo złudzenie bezbrzeżnego południowego morza, chociaż morze to jest zaledwie kałużą wśród mórz prawdziwych. Te same czerwone feski po nad ognistemi oczami i kłębiącemi się sztywnie nakształt grubych wężowych pieścieni — czarnemi kędziorami, — te same wspaniałe klasyczne profile. Rzecz dziwna — w jakiej niepokalanej czystości świecą tu dotąd te czarujące zeusowe i antinousowe profile! Na targu tym hałaśliwym i pospolitym, wśród stosów wonnych pomarańcz i... wianków z cebuli, wpośród różowych i białych akacyj, lejących swe aromaty, niby bajeczne fontanny woniejące i tuż obok rozpierających się z ęgzotyczną swawolą łodyg szaleju, z cuchnącemi wielkiemi kielichami...

Piękne i wstrętne zapachy zmięszane: kwiaty, owoce i świeżość morska — szalej, cebula i ryby wędzone. Piękni i dumnolinijni po-

łudniowcy tutejsi, wielkich hellenów potomkowie — dziś płytcy przekupnie — jak płytkie ich morze w porównaniu z Pontem-Euxinem. Przynajmniej tu, na tej bliskiej od kraju ich obczyźnie — o innych mówić nie mam prawa. Oni tu przeważają w tym południowo-wschodnim chaosie, chociaż wytryskują zeń raz poraz gardłowe dźwięki Armenji i Gruzji — i cudna, jak maj rozśpiewany, mowa Italji, — cudna nawet w tych ustach, zwilżonych spirytusem, majtków włoskich.

Wstępuję na pokład, skąpana w przeszłości, zapatrzona w niebo, co było nad nią rozpostarte w fale, które jej szumiały, w ziemię, po której słała się ona. I oto puszczam się dobrowolnie w drogę... ku otchłani. Może wreszcie tam znajdę to, czego szukam bez ustanku, zaczem tęsknię bez przerwy od lat tylu... Obym wstąpiła w ślady Orfeusza, znajdującego Eurydykę!

II.

Zdawało mi się zawsze, iż musi to być przestrzeń szaro-ołowiana, otoczona drugą, jeszcze bardziej szarą, bardziej ołowianą przestrzenią morza. Jednolity, zabójczo-smutny krajobraz. Przekonywam się, iż rzeczywistość wcale nieźle odpowiada temu wyobrażeniu, przynajmniej teraz w jesieni. Powiadają, co prawda, że bywa i tu niejeden dzień błyskotliwy, jak lód na słońcu, w zimie, a latem nawet takie, co przypominają północ naszej Europy. Nie tak tylko wystawiałam sobie fale oceanowe. Są one olbrzymie, ogromnie ponure i raniące oko ostremi, białemi grzbietami, jak ostre, kolczaste grzbiety niektórych ryb tutejszych — ranią nieostrożne ręce.

Ależ życie za to pełne, o pełne! Odrywa mię ono tak od siebie samej, jak tego pożądałam, jadąc tutaj. Dziwna też rzecz, iż znajduję tu szpital całkiem zadowalniający, szablonowy szpital europejski, z najnowszemi zastosowaniami. Dla tego też można nawet zrozumieć, że wydaje się on rajem ziemskim dla swych niepospolitych pacjentów: większość z nich wstępuje doń przecież prosto z piekła... I ja też ze swej strony przejmuję się zawsze wielkiem, choć smutnem zadowoleniem, gdy gmach ten staje się cichym przedsionkiem do wiecznego spokoju. Dla większości tych ludzi lepszą jest cicha śmierć, niż obecne ich życie.

III.

»J'ai la fureur d'aimer n'importe qui, n'importe quel, n'importe où, n'importe quoi«... — tak mówi Verlaine o sobie.

Ja zaś mogłabym tak powiedzieć: »j'ai la fureur d'être aimée, n'importe de qui, n'importe de quel, n'importe où, n'importe pourquoi!... Wielka ta żądza miłości ludzkiej i ciepłych serc, do mnie zwróconych, wygnała mię z granic normalnego życia, w których obracają się podobni mi ludzie. Tam też nieszczęsna moja istota, ze względu na rozmaite warunki zewnętrzne i wewnętrzne, zawsze się oddalała w najpośledniejsze cienie, na plan ostatni. A tymczasem buntowała się we mnie bezgraniczna miłość własna, pożądanie ludzkiej uwagi, kochania, troskliwości, pieszczoty... Och! za cóżbym zresztą posiąść je miała? Czy nie za szkaradną, odpychającą nawet powierzchowność, za mój egoizm rozżalony, za dumne zamknięcie się w sobie, za nienawiść, obojętność lub odrazę! Nie pracowałam przecież nigdy nad zdobyciem owych serc kochających, bo mi się zawsze wydawało z zazdrośną, może przesadną podejrzliwością, że najżmudniejsze moje wysiłki i poświęcenie — zdmuchnie lada błyśnięcie ładnych oczu, lada szczery i miły uśmiech, lada zręczny ruch i bagatelna czyjaś usługa... Spotkałam się z tem w życiu wiele razy i zamarzłam na zewnątrz, paląc się wewnętrznie tęsknotą za tem kochaniem, za ciepłem serdecznem.

W istocie jednak, pomyślawszy bezstronnie, nie mogłam mieć żalu do ludzi za to, że mnie nie kochali. Bo i za cóż właściwie mieli wyciągać do mnie ramiona? Od pierwszego wejrzenia przecież nie mogłam usposobić ich dobrze. Niestety! na nieszczęście dla siebie mam dość wyrafinowany zmysł estetyczny i nie mogłam się łudzić co do mej powierzchowności. Uprzedza ona na moją niekorzyść — nad usunięciem zaś uprzedzeń nie raczyłam pracować, nie wierząc nawet by mi się to udało. Wyrobiłam więc w sobie przekonanie, że znajdę chyba tylko w jakichś nadzwyczajnych warunkach to czego szukam — w zwyczajnych zaś nic mię nie zdoła wyprowadzić z tej smutnej pośledniości, z tej pustki i cierpienia. Mojem marzeniem, marzeniem chorobliwej wyobraźni... (jakże mało zasługiwało ono na ludzkie uznanie i sympatją!) było mieć taką władzę nad światem, żeby mu kazać ukochać ślepo tylko mnie samą! A potem, jak niepodzielna monarchini, rozglądaćbym się poczęła w miłośnym tym chaosie — komu i czemu się poświęcę, co zdołam ukochać nadewszystko... nawet nie! wówczas całą gorącą miłość swoją i całe poświęcenie oddałabym całemu światu na wieki...

Tymczasem jednak nikt mnie nie kochał i ja też nikogo. Jestem wcieloną miłością własną Skoro zaś takie wcielenie miłości własnej spotyka dokoła tylko chłód, obojętność, wstręt i zaniedbanie — rwie się ono w gorączce poszukiwania jakicheś innych światów, gdzie może skarb ukryty zdobędzie, najrzadszy kwiat paproci...

Dzisiaj, na tym krańcu świata, otaczają mnie ludzie jeszcze więcej upośledzeni, jak tam byłam; pożądający iskry żalu, względności, ludzkiego obejścia — jak ja tam iskry miłości ludzkiej. Sypnę im całym skarbcem tych iskier brylantowych — i wykrzeszę z tych serc kamiennych lub tygrysich iskry wdzięcznej miłości. Mniejsza o źródło, bylebym je posiadała?

(D. c. n.). *Janina Baudouin de Courtenay.*

Ze statyki i dynamiki ludowej.

(podług obserwacji czynionych na góralszczyźnie).

(Ciąg dalszy).

Górale w stroju swoim lubią zachowywać odrębność, wyróżniającą ich od »lachów«, »ludzi dolnych i podolnych«: przyjętego kroju, barwy, rysunku, wszelkich szczegółów ornamentacyjnych przytrzymują się wytrwale, — dopóki nie przyjdzie nowa moda. Mimo konserwatyzmu ludowego rzucają stare wzory i z największą skwapliwością przyjmują nowe.

Gdzieindziej żupany i siermięgi z niezmiennemi dla pewnych ziem barwami na całym obszarze Polski i Rusi jakiemi są dziś, takiemi były za czasów i Jagiellonów i za Piastów. U górali obok cuhy białej, która stanowi distinctorium juhasowskie, wszelki inny strój ulega zmianie. Dziś jeszcze żyjący starzy gazdowie i bacowie pamiętają radykalną jego przemianę Kołpaki, żupany i brody ustąpiły skrzydlatym kapeluszom, kaftanom i ogolonej twarzy. Następnie zniknęły dziergane z szerokimi rękawami koszule i długie zwijające się w pierścienie włosy. Za naszych już czasów węgierska moda wprowadza buty palone zamiast kierpców i usuwa gładkie czuby u spodnic, zastępując je coraz sutszemi cyfrowaniami.

Wypada tu jednak z góry uczynić to ważne zastrzeżenie, że nie wszystko, co się tu mówi o góralach, obejmuje obie płci ani też cały obszar góralszczyzny. I tak np. co do mody, kobiety nie tylko jak wszędzie — skwapliwiej przyjmują nowinki, ale wręcz zarzucają strój góralski i przyjmują kosmopolityczny mieszczek. Co zaś do obszaru, jeśli w niektórych objawach odrębności istnieje wspólność i jednostajność szablonów, sięgająca na Spiż — daleko poza granice państwowe; to natomiast w innych różniczkowanie wyodrębnia nie tylko Sandecczyznę, Żywiecczyznę, Nowotarszczyznę, ale nawet w tej ostatniej właściwe Podhale, co więcej pojęcie jego u samych górali ogranicza się tylko do osad, bezpośrednio przytykających do wschodniego łańcucha tatrzańskiego (jak Zakopane, Poronin, Białka etc.). Resztę ludności zowią wsiakami góralskimi. Analogiczny stosunek zachodzi w Pieninach i w Tatrach bielskich, w Liptowie i Orawie. U niektórych wsiaków góruje konserwatyzm zewnętrzny i obyczajowy obok większego zamiłowania roli, niż życia pasterskiego. Natomiast u niektórych Podhalan (jak np. białczańskich) przeważa staroświecczyzna nawet nad wsiakami. Spiż zachował krzysaki i szerokie z trzosami pasy skórzane a i sporo archaizmu w mowie, na Żywiecczyźnie spotkać można także stroje, jakie już w całej góralszczyźnie od kilkunastu pokoleń wyszły z użycia, mimo iż tak Spiż, jak Żywiecczyzna bardziej są wystawione na wpływy zewnętrzne i stosunek z ludnością nie-góralską niż Podhale nowotarskie.

Jakkolwiek, pochwyciwszy samą modę, trzymają się jej górale skrupulatnie, to wszakże każdy prawie z nich wyciśnie na niej znamię, swej indywidualności, choćby odmienną wstążeczką lub pióreczkiem za kapelusz, a gdy i na to sposobność lub środki nie pozwolą, to bodaj właściwem, odmiennem upięciem tej ozdoby. Taki Topór z Olczy, wbrew wszystkim ze wsi sąsiednich noszący pas trzosowy i długie w pierścienie włosy, czyni to nie dla samego podtrzymania staroświecczyzny i zamiłowania w niej, ale dla tego, że mu się podoba takie wyróżnienie. Gdy inni w cyfrowanych spodniach i czuhach a wąskich gładkich koszulach chodzą, Sabała — przeciwnie — gładkie, dawniejsze juhaskie ubranie zewnętrzne białe, a koszulę dzierganą z szerokimi zwieszającymi się rękawami. Zgoda na to, że w ten sposób manifestował wstręt swój do zbytniej skwapliwości w modzie, a zamiłowanie do kroju, który w młodości jego wszyscy nosili. No, a orle pióro za kapeluszem (dar nieboszczyka Wrześniowskiego) ufarbowane na purpurę, a może w tej postaci przez nikogo nie noszone, czyż nie było znamieniem fantastyczności indywidualnej?

Pomijając importowaną z zewnątrz polkę, właściwe tańce góralskie nie są wirowe, a skoczne i posuwiste — solowe tak wyłącznie męskie (zbójnicki, staroświecki — taniec wojenny) jak wobec kobiety, (ale nie z nią razem: ona tańczy spółcześnie oddzielnie, również solo, a tylko od czasu do czasu bywa przez tancerza, lub jego towarzysza obtańcowywaną). Ogólny »góralski« różniczkuje się w kilku odmianach, z tych jedna charakterystyczna »krzesany«, będąca już nie tylko »figurą«, ale niemal oddzielnym tańcem, polega na długiem w jednem miejscu przytupywaniu miarowem i jednoczesnem uderzaniu piętami w takt coraz żywszy i przy zakreślaniu na ziemi figur stopami. Powstać on mógł najprawdopodobniej tylko u juhasów w górach w małym szałasie lub nad urwiskiem przepaści, gdzie ograniczony teren pozwalał tylko na to ustawiczne w jednem miejscu zwalczanie siły i zręczności ludzkiej zapałem i ochoczością taneczną i nic, zda się, nie może być bardziej szablonowego i jednostajnego nad takiemi warunkami zakreślony taniec. A jednak proszę spojrzeć na tancerzy, jak każdy z nich usiłuje po swojemu wyzyskać ten teren i te warunki, bądź siłą, bądź zręcznością, bądź wytrzymałością, bądź ekspresją całej postawy i wprawionych w drganie lub ruch rytmiczny każdego z członków organizmu, zaangażowanych wymaganiami tańca!

Lecz oto skończył się krzesany i tancerz puszcza się dokoła izby w pląsy »orawskiego«. Wpierw wszakże staje przed basistą, rzuca wewnątrz pieniądz, poczem zwraca się do pierwszego skrzypka i przyśpiewuje:

Zagraj mi, muzycku
Jakoś prędzej *) grawał,
Kiek się na kamieniu
Skałeckami bawił.

Zadudaj, dudasku,
Na moim sałasku;
Zadudaj we dwoje
Na owiecki moje.

A po parukrotnem zatoczeniu koła, staje znów przed kapelą do odśpiewania nowej przyśpiewki. Niekiedy jeden tancerz po kilkanaście śpiewek wykona. Po nim następujący tancerz każdy śpiewa po swojemu, nigdy nie powtarzając już śpiewanych rzeczy. Kiedy mu wyjdzie z pamięci, lub zabraknie zapas znany, sam improwizuje nowe; jeśli zaś natknie na już odśpiewaną piosnkę, to ją znowu cokolwiek przeinaczy.

I tak gdy jeden zaśpiewał:

Pockaj-no ty, zydu!
Śworni chłopcy idą:
Piniazki zabierą,
Ty wyndzies na bidu

To drugi tak ją wykona:

Uciekaj-ze zydu
Śworni chłopcy idą,
Pieniązki zabiorą
I ciebie zabiją.

Zmieniając myśl lub wymowę, ze słowacka.

Niekiedy jednę piosnkę kilku odśpiewa, każdy inaczej np. powyższą pierwszą na takich np. warjantach.

Zagraj mi, muzycku,
Jakoś drzéwie grawał,
Kiem się na kamieńcu
Skałeckami bawił.

Albo z odmianą myśli:

Zagraj mi, muzycku,
Nie załuj mi smycka,
Dyj ja ci zapłacę,
Ino sprzedam bycka.

Albo gdy się jest w szałasie, przed dudziarzem:

*) wpierw, dawniej.

To znów jeszcze inaczej:

Zagraj mi, muzycku,
Zagraj-ze mi ładnie,
Dyj ja ci zapłacę,
Az ci kabłuk spadnie
(Az kapelus spadnie).

Muzyka tak do tańca, jak śpiewu również się różniczkuje. Oprócz szerszych działów: podhalskich, liptowskich itp., są pieśni pochodzenia danej wsi lub osady, a więc np.: jurgowska, zakopańska, kościeliska itd., a dalej nuty od imienia poszczególnych pieśniarzy: gajdusiów, skrzypków, śpiewaków, a więc np. Gałowa, Słodyczkowa, Bartkowa, Pęksowa itd. Uderza w nich nlietylko wielka łatwość przechodzenia z jednego aktu w drugi, przerabiania mazurów, polek, polonezów na krzesane, góralskie i odwrotnie, lub akomodowania prastarych np. lidyjskich (które się u nich zachowały) do nowych, ale nawet zdolność indywidualizowania przyjętych taktów i motywów u każdego po swojemu. Sabała nie był muzykiem, a przecie taki pierwszy skrzypek góralski, jak Bartek Obrochta, z lubością powtarza sabałowy sposób wykonywania niektórych nut.

W daleko wyższym stopniu to różniczkowanie i ta indywidualizacja występuje w żywem słowie tak w opowieściach artystycznych, jak w potocznej mowie. U pienińskich górali żyje piękna legenda o ucieczce św. Kingi przed nieprzyjaciółmi i cudownem za jej sprawą wyrośnięciem zboża dojrzałego na świeżo zoranej glebie gwoli zmylenia tropu uciekającej przed ścigającymi. W jednych wioskach Pienin nieprzyjacielem tym są Tatarzy, w innych Hus. Na Podhalu powtarza się ta sama fabuła, ale czas i osoby działające zupełnie inne: ucieka Chrystus, każe róść zbożu, a gonią żydzi.

Albo owa prześliczna o zaśnionem w Tatrach wojsku, legenda raz każe spać rycerzom pod Babią górą, drugi raz pod Ornakiem w Kościeliskach. Przy tej ostatniej odmianie rozbudził rycerzy kowal, w warjancie zaś Sabały — dziewczyna.

Proszę z myśliwskiego cyklu opowieści wziąć np. walkę dwóch wilków z koniem. Opowiadaczy dzieli tylko przestrzeń Gubałówki. Z tamtej strony cichowianin, z tej zakopianin (świeżo zmarły Wala) opowiadają nie tylko w głównych konturach, ale nawet w najdrobniejszych szczegółach jednakowy przebieg tej walki: jak dwa wilki nie mogąc podołać broniącemu się dzielnie koniowi, używają podstępu, jeden atakuje go z tyłu, drugi z przodu, jak pierwszy zmyliwszy czujność konia, gdy ten podniósł łeb do góry, wpił się mu w piersi, jak rozerwał klatkę piersiową i t. d. Tak plastyka walki jak psychi-

czne motywa każdego stadjum tak wybornie są oddane, że widocznie podobały się obu opowiadaczom i nic w nich nie mieli do zmiany. Wszystko co do joty tak samo, prócz oczywiście języka i stylu. Nie tylko fabuła, ale najszczegółowsze jej przeprowadzenie i opracowanie z jednego pochodzą źródła i od jednego autora. Ale każdy z opowiadających występuje jako autor i świadek naoczny walki, jeno, że tamten góral podaje za teatr walki dolinę pod Wirchem niedaleko siebie, a Wala — lendacką polanę na Spiżu. Każdy z nich tak różne tereny maluje z taką plastyką, a swój udział z taką prawdą życiową, że przysiągłbyś, iż ten wypadek każdemu z nich się trafił. (C. d. n.).



Rozbiory i sprawozdania.

Prawowitość i lojalizm, kryzys myśli polskiej — przez ks. L. Zbyszewskiego. Kraków 1896.

W naszym ciemiężonym narodzie wszystkie warunki się na to złożyły, ażeby podłość, renegactwo, proste oszustwo, nareszcie, podług klasycznego wyrażenia pewnego stronnictwa, obejście prawa popłacały jak najlepiej, a człowiek pełniący swoje moralne i narodowe obowiązki doczekał się jedynie nędzy i prześladowania; nie trzeba się więc temu dziwić, że »duch silny a ciało mdłe«, że to co popłaca i zbogaca znajduje tylu zwolenników. Jestto atoli objaw nader pocieszający, że żołądek narodowy nie zupełnie jest jeszcze przyzwyczajony do stańczykowskiej strawy, jak n. p. francuski do oportunistycznej i najniesmaczniejszych »franko ruskich« aliansów; kiedy podany przysmak zanadte cuchnie, odrzucają go z obrzydzeniem najstalsi nawet stronnicy tak zwanego konserwatyzmu i najszczersi klerykałowie. Tak się stało z proponowanem przez p. Stanisława Koźmiana i Sp. narodowem samobójstwem. Postępowe żywioły zbyły w ogóle trójlojalnośc pogardliwem milczeniem, bo jestto zresztą bardzo stare i oklepane hasło, a nie każdy chce się narażać zupełnie szczerą odpowiedzią na konfiskatę albo na coś gorszego; któżby na koniec chciał tracić siły na polemikę z przeciwnikiem, wyznającym otwarcie, że ani zasad, ani czci i wiary nie ma i stosującym ten program wszędzie, gdzie tylko można? Ale konserwatyści i katolicy dali folgę swojemu oburzeniu a niniejsza książka jest jednym z objawów, bardzo, powtarzamy, pocieszających, tego przebudzenia się sumienia narodowego u tych nawet, którzy je usypiają codzienną dawką szlacheckiego i klerykalnego haszyszu.

Nie wymyślilibyśmy lepszych wyrazów oburzenia, niż te, któremi częstuje p. Koźmiana i jego przedkordonową i zakordonową klikę przewielebny ksiądz L. Zbyszewski, licencjat św. Teologji z *collegium romanum.*« Trudne są subtelności scholastyków, ale w porównaniu z tezami p. Koźmiana, to żarty... jestto misterjum niedorzeczności, albo po prostu gadanina. Pozostaje (dla nas, po urzeczywistnieniu myśli Koźmiana) życie towarzyskie, toczące się około dworu i urzędów dworskich, klubów, teatru, wyścigów, baletu, ze szczyptą zabagnionej literatury. To rozwiązanie... idzie jeszcze dalej, do wynarodowienia nas przez prawosławie.. Wygląda to na drwiny!... P. Koźmian jest niby Jonasz prorok zgadzający się na swój los we wnętrzu potworu...« i t. p. (Str. 2, 11, 12, 13, 17 i *passim*) Ks. Zbyszewski mozolnie gromadzi najlepsze sylogiczne dowody dla poparcia oczywistej prawdy, że ów »byt narodowy« Koźmiana jest po prostu wieczną wojną domową trzech odłamów Polski pod trzema nieprzyjaźnemi sztandarami, ostatecznym moralnym, materjalnym, ekonomicznym i (o co mu głównie chodzi) religijnym upadkiem narodu, jednem słowem, narodowem samobójstwem; ubolewa przytem, w swojej licencjatowskiej naiwności, nad tem, że »uczciwi ludzie i prawi Polacy (!!) z *Przeglądu Polskiego* wzięli tę całą mistyfikację w obronę.« (Str. 12)

Z tego wszystkiego widać, że ks. Zbyszewski jest dobrym Polakiem i zagorzałym katolikiem, że jest, co ważniejsza, uczciwym człowiekiem i chrześcijaninem, że oburza go do głębi duszy wszelki fałsz, wszelka podłość, a mówiąc teologicznym językiem, wszelkie złamanie przykazań boskich. Szkoda tylko, wyrażając się słowami samego księdza Zbyszewskiego, że ks. licencjat jest »jak owe trupy co się w pewnych jaskiniach niezmienne przechowują« i jest »w duchu« katolickim »zmomifikowany, z mózgiem, z oczami, ze słuchem, ze słowami, ze wszystkiem« (Str. 3). Jedynym ratunkiem, podług ks. Zbyszewskiego, dla Polski jest — zgadnijcie — brnąć dalej w ślady Jeremich Wiśniowieckich, Zygmuntów trzecich. Lisowskich, Lwów Sapiehów i uderzyć na wschód szyzmatycki, przy pomocy — zgadnijcie jeszcze — lutrów berlińskich i żydów wiedeńskich! Prawda, że ks. Zbyszewski cieszy sie błogą nadzieją, iż Wilhelm II. i *Neue Freie Presse* nawrócą się w najkrótszym czasie na katolicyzm; ale niech nam pozwoli o tem powątpiewać. Sprawa poruszona przez ks. Zbyszewskiego dawno osądzoną została, między innymi przez ks. biskupa Naruszewicza i ks. biskupa Woronicza. Owa »konieczność ścisłego sojuszu Polski ze środkową Europą, t. j. z Austrją i Niemcami«, którą zaleca ks. Zbyszewski (str. 73), w interesach Rzymu i w celu przyłączenia szyzmy do stolicy apostolskiej, była przez nas praktykowaną przez dwa wieki z górą i doprowadziła nas do — Koźmianów. Rzym postawił Polskę na kartę i przegrał ją, jak przegrał Hiszpanję i Austrję, trzymając bank przeciw protestanckiej Anglji, kalwińskim Niderlandom, luterskim Brandenburom i Szwedom. Czas by się »odmomifikować« i wrócić do zasad złotego wieku demokracji polskiej, to jest do najzupełniejszego odłączenia kwestji religijnej od politycznej, do zawyrokowania, że każdemu Polakowi wolno Pana Boga chwalić jak mu się żywnie podoba, a żadnemu nie wolno poddać się despotyzmowi, bezprawiu, lichwiarskiemu wyzyskowi i moralnemu rozpasaniu.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.